



Autor: Grento YTP

Prereading/korekta: (Mistrz) Sun, RedMad, Kacper Q

Rozdział 12 – Pani Deliktywa, część 2

1

Codrisd przemierzał obóz Wolności energicznym krokiem, jakby wstąpiło w niego nowe życie. Wszystko wokół było po staremu; stalkerzy kręcili się tu i ówdzie, załatwiając swoje sprawy, rozmawiając rozciągnięci na ziemi z papierosem w ustach i gorzałką w dłoni. Chyba akurat następowała zmiana warty, gdyż Codrisd zauważył, że z wież strażniczych schodzą zaspani snajperzy, ziewając i pewnie nie myśląc o niczym innym, jak o ciepłym łóżku, dobrym napitku i miękkich cycuszkach, w które mogilby się wtulić. Wszystko toczyło się starym rytmem. Nawet wyjazd Lokiego na obrady nie przerwał tej passy... Chociaż nie. Jedna rzecz nieco się zmieniła. Co jakiś czas z megafonu odzywały się głosy dwóch stalkerów, których słyszał już wcześniej. To byli Jar i Aszot; dwaj najwięksi rywale którzy nieustannie sobie dogryzali, a najczęściej dotyczyło to wielkości ich przyrodzenia, tego, ile dziewczyn i jak udało im się zaliczyć, no i oczywiście teksty w stylu *twoja stara...* Odkąd zabrakło Lokiego, który potrafił utrzymywać ich z ryzach, funkcję namiestnika przejął Czechow, który, jak to ujął, *dostawał kurwicy przez tych dwóch idiotów*.

Codrisd mruczał pod nosem coś do rytmu muzyki, która rozbrzmiewała w jego umyśle, a uśmiech nie schodził mu z twarzy, gdy kupował racje żywnościowe u mechanika Aszota.

– Merkantyizm-srenkantyizm – wymamrotał Aszot do PDA trzymanego przy uchu, gdy podawał kupującemu konserwy. – Jak chcesz, to ci sprzedam specjalny płyn do kierunkowskazów. Nie ważne, że nikt nie wie, co to jest, ja tu się znam na wszystkim. – Aszot zamilkł na chwilę, zanim znów się odezwał. – Nie! Absolutnie nie próbuję ci niczego wcisnąć!

Codrisdowi udało się nawet kupić wino, co nie było takie oczywiste, gdyż według stalkerów trunek ten uchodził za *pedalski*, ale im tańszy, tym łaskawiej się na niego patrzyło. Codrisd mógł szybko się wytłumaczyć, że to dla dziewczyny, więc winy zostały mu odpuszczone. Zaraz potem przypomniał sobie, że nie będzie mógł wypić z nią tego trunku; przecież Fluttershy musiała brać jakieś leki. Wątpił, żeby picie alkoholu z lekami było mądrym pomysłem. No ale z drugiej strony, wino przecież nie wyparuje i będzie mogło poczekać.

Rozmyślając o tym, przypomniał sobie o prośbie Fluttershy. Stalker udał się do skrzydła medycznego i poprosił o wspomniany przez stalkerkę lek – Anorax. Po bardzo szybkim załatwieniu sprawy (okazało się, że lek był na stanie, a że recepty nie były wymagane, to wyciągało się kasę i brało to co się chciało na własną odpowiedzialność), Codrisd czym prędzej udał się w stronę swojego *lokum*.

– Co tam?

Głos, mimo, że słodki i przyjazny, był tak nagły, że wytrąciło go to z równowagi. Do tego należał do niej; do Fluttershy. Codrisd podskoczył w miejscu, co wystarczyło, żeby ledwie trzymane przez niego PDA wysunęło się z jego palców i spadło na gołą ziemię. Stalker rzucił tylko przelotne spojrzenie na jej twarz, ale już wtedy mógł zauważyć, jak radość na twarzy Fluttershy zastępuje zaniepokojenie. Codrisd pośpiesznie schylił się po komputer.

– Um... przepraszam!

Wyrażnie zawstydzona, chciała czym prędzej naprawić swój błąd. Jej dłoń wystrzeliła w kierunku upadłego urządzenia, głowa zanurkowała i wtedy stało się to, czego żadne nich nie przewidywało. Fluttershy zderzyła się czołem z głową stalkera. Głuche łupnięcie odepchnęło ją, przez co zachwiała się na nogach i omal nie siadła z zaskoczenia na ziemi. Codrisd w tym czasie dopadł PDA i wpakował je do kieszeni. Z lekkim grymasem bólu na twarzy, bardzo podobnym do tego Fluttershy, czym prędzej podniósł ją za ręce do góry i ustawił do pionu.

– Wybacz... – wydukał Codrisd. Czuł się jak idiota, lecz widząc przepraszający wyraz twarzy Fluttershy, mógł zgadnąć, że ona myślała podobnie o sobie. Stalker ujął jej głowę i delikatnie złożył pocałunek na zaczerwienionym miejscu na czole stalkerki.

– Chyba mniej boli?

– Od razu mi lepiej... – szepnęła.

– Wydawało mi się, że poczekasz na wszystko w moim pokoju.

– Och – Fluttershy zachichotała i odsunęła się od Codrisda. – No... ubrałam się i wyszłam. No i odwiedziła mnie też Sunset.

– Wiem – odrzekł z zagadkową miną. – Minałem się z nią w drzwiach. Wyglądała na trochę smutną.

– Prawda? – Fluttershy momentalnie się ożywiła. Wreszcie ktoś potwierdził jej przypuszczenia, które i tak wydawały się być oczywiste. – Musimy jej jakoś poprawić humor, jak tylko ją złapiemy. Jakoś damy radę. No i przy okazji chciałam też dowiedzieć się, czy... czy może masz te leki? – spytała słodkim tonem, mrużąc oczy.

Ręka Codrisda odruchowo powędrowała do kieszeni, w końcu doskonale wiedział, gdzie zostawił wspomniane lekarstwo. Jednak nie wyciągnął go. Zamarł w bezruchu. Już wcześniej, jeszcze przed dotarciem do Doliny Mroku, widział, jak Fluttershy zażywa te tabletki. Czasem po kryjomu, w tajemnicy przed Sunset i Żwawym. To było podejrzane. Wydawało mu się, że bierze zbyt duże dawki, pomimo braku medycznego wykształcenia. Myśl o tym, że była od nich uzależniona, zmroziła go. Sam już nie wiedział, czy powinien przekazać jej lekarstwo. Zdał sobie sprawę, że nieważne co postanowi zrobić, to może okazać się błędną decyzją. Nie danie tych leków, z oczywistych przyczyn, mogłoby okazać się groźne, lecz jeżeli to, o czym pomyślał, było prawdą, to przekazanie lekarstwa mogłoby tylko pogłębić problem Fluttershy. Nie miał pojęcia, jak powinno się postępować z uzależnieniem.. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to sprawdzenie jego własnej hipotezy. Chciał sprawdzić, jak zareaguje.

– No... wiesz... – spuścił wzrok i wykrzywił się w smutnym grymasie – niestety dzisiaj ich nie ma.

Codrisd ponownie spojrzał w oczy stalkerki, by móc dokładnie przyjrzeć się jej reakcji. Fluttershy zacisnęła mocniej palce na ubraniu Codrisda. Na moment źrenice dziewczyny zwęziły się gwałtownie w przerażeniu, jakby ujrzała przed sobą jaskrawe światło. Ale te objawy zniknęły już w następnym momencie, gdy Fluttershy przywarła mocniej do Codrisda i odparła swoim swobodnym tonem.

– W porządku. Ale jak tylko będziesz je miał, to mi dasz, prawda?

– Tak – wykrztusił z siebie. Był wdzięczny za to, że akurat nie patrzyła prosto na niego, a wtuliła głowę w jego pierś, nie mogąc zobaczyć jego niemrawego wyrazu twarzy.

PDA Codrisda wydało sygnał i zawibrowało. Para odstała od siebie, aby stalker mógł sprawdzić wiadomość. Nadała ją Pani Deliktywa.

– Co jest? – spytała Fluttershy.

– Mamy iść do burdelu. Czeka na nas spotkanie z twoją ekipą. To ważne. Szykują się na ucieczkę z Zony.

– Ucieczkę z Zony... – powtórzyła z zapartych tchem. Po tym wszystkim, rozpoczęcie życia na nowo wydawało się być takie abstrakcyjne.

– Idziemy? – potrząsnął nią lekko.

Stalkerka otrząsnęła się.

– Tak. Daj mi tylko chwilę. Pójdę jeszcze po coś. Zaraz dołączę.

Zostawiła go i czym prędzej przeszła przez dziedziniec swojej dawnej szkoły, mijając po drodze pomnik Wondercolta, stojącego dęba konia z rozwianą grzywą. Przeszła obok trzech stalkerów, stojących tuż obok wejścia, którzy przerwali swoją rozmowę, gdy tylko się do nich zbliżyła, by obserwować stalkerkę z zaciekawieniem. Fluttershy przeszła przez otwarte drzwi, wkraczając do szerokiego korytarza połączonego z resztą skrzydeł. Z każdym krokiem mijała dawne klasy, których przeznaczenie zmieniło się odkąd powstała Zona. Toteż nie niepokojona zbyt dużą ilością ciekawskich par oczu, dotarła do jej własnego pomieszczenia, które zdążyła wziąć sobie na własność, tuż po przybyciu do Doliny Mroku. Zamknęła za sobą drzwi. W środku nikogo nie było, co akurat ucieszyło stalkerkę.

Zaczęła od przeszukiwania jej własnych rzeczy. Wszelkie pakunki, których nie było zbyt wiele, zostały wyrzucone na lewą stronę. Fluttershy, wyraźnie się spiesząc, przetrząsała każdą kieszeń, każdy schowek, a ukryte w nich przedmioty, jak: prowiant, amunicja, środki pierwszej pomocy, wypadły prosto na podłogę. Zajęła się również rzeczami Sunset. Szukała coraz szybciej, z rosnącym zniecierpliwieniem. Wściekła z powodu niepowodzenia, odrzuciła od siebie ostatnią, opróżnioną torbę. Zazgrzytała gniewnie zębami. Spoglądając na swoją dłoń, dostrzegła jej narastające drżenie. Prychnęła, zaciskając pięść, co tylko wzmożyło trzęsienie się. Zanurzyła palce głęboko we włosach i odetchnęła ciężko.

Znów to samo. Dokładnie ten sam lęk, który dopadł ją tamtej nocy w obozie Czystego Nieba, gdy pobiegła po pomoc do tamtejszego medyka. Wtedy przynajmniej mogła otrzymać lekarstwo, a teraz, po tych wszystkich tygodniach, lekarstwa już nie było i nie zapowiadało się na to, że otrzyma je w najbliższym czasie.

Fluttershy oddychała ciężko jak po długim biegu. Zaciśnięte palce wbiła w pierś, zatapiając paznokcie w ubraniu i mogąc wyraźnie odczuć swoje skołatane serce. Stalkerka usiadła ostrożnie na krześle. To było tak nagle. Przecież jeszcze chwilę temu wszystko było w porządku. Trzymała się wyjątkowo długo bez żadnej tabletki. Wczoraj żadnej nie wzięła, zamiast spożyć kolejne sześć sztuk. Dochodziło już południe, a ona wciąż nie zaspokoila swojego głodu.

Głodu? Fluttershy z przerażeniem zauważyła, że tak to właśnie nazwała w swoich myślach. Nie, to z pewnością nie był głód, próbowała sobie tłumaczyć. Nie jest uzależniona. Z pewnością nie jest. Ona potrzebuje tych tabletek, bo jest chora, bo wciąż doświadcza stresu... Tyle się wokół działo, a ona, jak zwykle, reagowała na to paniką. Kto by nie próbował się wspomóc farmakologicznie w takiej sytuacji?

Miałas brać jedną dziennie.

W jej myślach odezwał się głos. Nie wiedziała, czym to coś dokładnie było. Sumieniem? Może podświadomością? Ale już miała na to gotową odpowiedź. Po prostu tamten medyk się pomylił. Zalecił jej zbyt małą dawkę i tyle. W końcu sam chyba przyznał, że nie jest psychiatrą, czyż nie?

Lata temu nigdy nie brałaś tak dużo.

Znów to samo. Gwałtownie wdzierający się do jej umysłu głos, pozbawił ją tchu. Czy jej się tak tylko wydawało? Czy naprawdę słyszała głosy?

– Ale lata temu, to było lata temu... Teraz jest inaczej...

Zakryła usta dłonią. Dlaczego powiedziała to na głos? Tak jakby rozmawiała z tym... czymś. Chociaż nie, przecież każdy od czasu do czasu mówi sam do siebie. To jeszcze nie strasznego. Wszystko jest w porządku, tylko musi wreszcie znaleźć to *jebane* lekarstwo, bo inaczej naprawdę zwariuje. Naprawdę.

Fluttershy otworzyła szeroko oczy i usta. A co z Codrisdem? On zachowywał się jakoś dziwnie. Miała wrażenie, że kłamie, gdy pytała go o leki. Nie dał jej ich specjalnie? Ale dlaczego? Czy on chce, aby cierpiała?

– Nie, nie, nie... To niemożliwe... Musi być inne wytłumaczenie... – Fluttershy jęknęła boleśnie. Wstała na tyle gwałtownie, że krzesło za nią rąbnęło o podłogę z hukiem. Otarła zroszone potem czoło i oparła się jedną ręką o najbliższą ścianę.

– Spokojnie, musisz wytrzymać... musisz wytrzymać... musisz wytrzymać... – powtarzała wciąż i wciąż, a jej głos stawał się bardziej i bardziej głęboki, warczący. Ze zwieszoną głową powtarzała sobie na głos usłyszane dawno temu rady od Naznaczonego, które miały pomóc jej zachować spokój. Drżącymi dłońmi zaczęła porządkować wcześniejszy bałagan. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co tu zaszło.

Sprzątając, zwróciła uwagę na coś zastanawiającego. Pamiętała, co ze sobą przyniosła Sunset. Obie, gdy przedzierały się przez Czerwony Las Everfree nia miały niczego, lecz stan ten poprawił się, gdy zakupiły u Aszota broń oraz odzienie. Ognistowłosa cieszyła się szczególnie z czarnej, skórzanej kurtki oraz obokana, który był w niezłym stanie. Sunset, przebywając w obozie Czystego Nieba, nie chodziła z karabinem na ramieniu, również jej

kurtka zwisała z oparcia krzesła, czekając na swój czas. Fluttershy nie znalazła ani broni, ani odzienia. Pogrzebała jeszcze dokładniej. Amunicji również ubył. Zniknęło parę racji żywnościowych. Wszystko to wyglądało tak, jakby Sunset nagle poczuła zew Zony i wybrała się na rajd.

Stalkerka zbladła na twarzy. Czym prędzej wybiegła z pokoju, aby powiadomić resztę.



Polipius odstawił z głośnym trzaskiem osuszony kubeczek, z którego wcześniej parowała wódka. Z zadowoleniem skrzyżował ręce na piersi i patrzył na Codrisda, męczącego się z nie wiadomo już którą kolejką. Wyraźnie ociągał się, krzywił, kręcił głową i nic nie widział, zaciskając oczy, cierpiąc żywe katusze. Kieliszek zawisł tuż przy jego ustach, nie mogąc ani wlać zawartości, by ta rozeszła się po organizmie, ani spocząć ponownie na blacie stołu. Zawisł w półgęście, jakby zawieszony między życiem a śmiercią, jakby zadawał sobie to odwieczne pytanie; wypić, czy nie wypić? Nie mógł znaleźć na to odpowiedzi. Racje w jego skołatanim umyśle podzieliły się po równo, tworząc idealnie zrównoważony dysonans, prawdziwą mordęgę dla kogoś, kto musiał podjąć decyzję.

– Widzę, że nie możesz się przemóc – zaśmiał się kpiąco Polipius.

– Ja... nie mam głowy z tytanu... – wybełkotał Codrisd, odchylając ciężko powieki ku górze. Strużka śliny spłynęła z kącika jego ust, a następnie spłynęła po jego drżącej dłoni.

– To dobrze – Polipius wzruszył ramionami. – Gdyby tak było, raczej bym sobie z tobą nie pogadał.

Stalker burknął coś tylko pod nosem i wypił gorzałkę. Trunek zapiekło go ostro w gardle, lecz wytrzymał to, kosztem jednej łzy, która załśniła w jego oku.

Codrisd, odkładając pierwszy kieliszek wódki, wciąż widział oczami wyobraźni samego siebie, pogrążonego przez niechęć do przegrywania. Jednak był pewien, że lepiej nie przyjmować żadnych zakładów od Polipiusa. Co by powiedziała na to Fluttershy? Choć drugą myślą było również to, czy aby na pewno powinien przejmować się jej opinią w absolutnie każdej sytuacji. Przecież nie zamierzała kontrolować każdego aspektu jej życia, (choć, z drugiej strony, kto wie).

Zamrugnął parę razy i wywrócił oczami. Później się nad tym zastanowi. Póki co zakończy na jednym kielichu i spyta, po co właściwie Polipius przybył do nich i rozsiadł się w jednym z pomieszczeń w liceum Canterlot. Z tego, co słyszał, ta dawna klasa nie służyła jako sypialnia, lecz pokój do swobodnych rozmów, gdzie każdy mógł tu przyjść, napić się i oczywiście zasięgnąć języka. Czasem dosłownie, gdyż parę młodych, atrakcyjnych dziewczyn siedziało w kącie sali i plotkowało między sobą przy jednym stoliku. Paru innych stalkerów zerkąło ku nim pożądliwym wzrokiem z drugiego końca pomieszczenia, licząc i odkładając na stół stopy banknotów.

– To co ty właściwie tu robisz? – spytał wreszcie Codrisc.

Polipius uśmiechnął się wrednie.

– Znacznie lepiej mi się gada, gdy mam się z kim napić.

Stalker westchnął cierpiennie. Zdecydowanie zacisnął palce na flasce, przechylił ją i nalał sobie po sam skraj.

– Zadowolony?

– Prawie, bo wódka ci stygnie.

Codrisc wychylił kieliszek za jednym razem i postawił go na stole. Polipius odchrząknął, nalewając im obu.

– Pani Deliktywa powiedziała, że będzie mieć do mnie sprawę. Naukowcy z Wolności chcieli znowu poddać mnie testom, ale jakoś udało jej się to przesunąć. *Jakoś...* Poza tym przybyłem tu dla Młodego.

– Młodego?

– Tak. Otóż spotkałem w dawnej stołówce Młodego, wiesz który to, i zapewniłem, że go obronię przed Flimem i Flamem. Zaraz tu przyjdzie razem ze swoją mamuszką.

– Co? – Codrisc omal się nie zachłysnął.

– Jego matka tu pracuje. To musiał być dla niego szok, ale chyba się ucieszył, gdy ją znalazł. – Mroczny stalker nachylił się ku niemu z zadziornym uśmieszkiem i szepnął: – Chyba jej nie dymałeś?

– A weź!

– No to całe szczęście! Wypijmy za to! – Polipius odetchnął wręcz teatralnie i poklepał towarzysza po plecach. Obaj wzniesli kieliszki i opróżnili je błyskawicznie. – Gdybyś ją wcześniej wytarosił, to mogłoby to być teraz trochę niezręczne. Ale jego matka jest, jak to się mówi na zachodzie, całkiem *hot*. A korzystałeś z tutejszych dziewczyn?

Codrisc posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Co? Niewygodne pytania? Nie musisz się wstydzić.

– Ech, ty to jesteś...

– Dobra – przerwał mu. – Już znam odpowiedź. W końcu siedziałeś w Zonie przez ładnych parę lat, to się nie dziwie. Burdel to jedyny kontakt z kobietą, a Zona potrafi być stresująca.

– Jasne, niech ci będzie. Ale chciałbym o coś spytać – zagaił półszeptem Codrisd. Polipius zerknął na niego i chwycił stojącą na środku flaszkę, nalewając im obojgu wódki, zanim jego kompan zdążył zaprotestować. A gdy wódka znalazła się w naczyniu, już nie wypadało odmówić. Codrisd ciągle słyszał te i inne sztuczki od innych stalkerów, żeby tylko kogoś upić. No ale zasady, to zasady. Wziął kieliszek do ręki.

– No, pytaj – Polipius wychylił kieliszek, przepuszczając przez gardło ohydą ciec, jakby była wodą.

Stalker nachylił się bardziej ku niemu.

– Słyszałem, że mroczni stalkerzy mają różne ciekawe umiejętności.

– Mamy ich całkiem sporo...

– Mi chodzi o takie specjalne specjalne... Ale ty przecież o tym wiesz.

Polipius uśmiechnął się pod nosem. Znow z zawrotną prędkością napełnił ich naczynia wodą. Codrisd westchnął, lecz kieliszek ujął.

– Każdy z głównej ósemki.

– To jest was więcej?

– Skład rezerwowych albo tych, którzy potencjalnie nadają się na mrocznego stalkera. Miejsce w ósemce zajmuje zawsze ten, który jest najbardziej obiecujący.

– Czemu zawsze to musi być osiem?

Polipius dumiał nad tym chwilę, po czym wychylił wódkę do dna.

– Nie mam pojęcia.

– Więc... Jakie ty masz zdolności?

– Niektórzy mroczni stalkerzy są w stanie kontrolować dany rodzaj anomalii. Termiczne, grawitacyjne, chemiczne, elektryczne...

– Elektryczne! – ożywił się Codrisd. – Mieliśmy już z tym mrocznym stalkerem do czynienia. Wtedy, gdy walczyłeś z Iluzjonistą.

– Tak – przytaknął Polipius, patrząc, jak kolejna dawka alkoholu ląduje w żołądku jego towarzysza. – Chociaż technicznie rzecz biorąc, to ja z nim miałem do czynienia. Wy nie.

– A co z tobą? Które anomalie kontrolujesz?

– Czasoprzestrzenne.

- O kurde. A jak to działa?
- Jak anomalie czasoprzestrzenne.
- Weź nie bądź taki...
- Spójrz na swój kieliszek. Już na ciebie czeka.

Rzeczywiście. Już stała w nim gotowa woda, aby wypalić nią gardło. Codrisd nie mógł w to uwierzyć. Nie zobaczył, kiedy nalewał gorzałkę.

– Jak ty to...

– Mogę kontrolować wycinek materii z naszej przestrzeni i przenieść go w inne miejsce, na przykład z butelki do kieliszka. Tylko ja potrafię tak serwować alkoholik – Uśmiechnął się cwaniak i zatarł dłonie. Poniósł triumfalnie swoje szkło. Codrisd również złapał za swój kieliszek i stuknął się ze swoim kolegą. Wypili jednocześnie.

– To niesamowite... Zupełnie jakbyś był Bogiem... Skąd wiesz, jak to robić?

– Nie wiem... – odparł, wzruszając obojętnie ramionami. – Niektóre zwierzątka tuż po urodzeniu też doskonale wiedzą, co mają robić. Ja mam podobnie. Zdaję się na intuicję. Nie znaczy to, że nie musiałem ćwiczyć, żeby uzyskać większą precyzję. Inaczej wysłałbym nas wszystkich w zupełnie inne miejsce i czas, gdybym tylko spróbował użyć swojej mocy.

Polipius wyciągnął paczkę papierosów i zaproponował jeden ze szlugów Codrisdowi, który nie palił, ale i tak sięgnął po fajkę. Czemu by nie zapalić dla towarzystwa.

– Jesteś naszym asem w rękawie – wymamrotał z papierosem w ustach, gdy Polipius go podpalał. – Z tobą nic nam nie będzie.

– Nie przesadzaj. – Szybko go uspokoił, podpalając końcówkę bibułki. – Nie tylko ja taki jestem.

– Inni mroczni stalkerzy też potrafią tak kontrolować przestrzeń?

– Z tego co wiem, to tylko ja. Ale pozostali mroczni stalkerzy mają swoje własne asy w rękawie...

– Który jest najgroźniejszy?

– Żniwiarz, oczywiście. Czyli Naznaczony. Nie licząc Doktora.

– Żniwiarz pokonałby ciebie?

Polipius zawahał się nad odpowiedzią.

– Myślę, że tak...

Nagle trzaśnięcie dłoni w stół przerwało ich rozmowę. Szkło zadzwoniło. Oboje podskoczyli na krzesłach. Polipius oraz Codrisd skupili się na swojej rozmowie do tego stopnia, że nie zauważyli, kiedy Cream Heart nachyliła się nad nimi. Patrzyła z wyjątkową nawet jak na siebie surowością.

– Tego już za wiele!
– Ale co jest? – spytał zdeorientowany Polipius.
– Nie będziecie mi dziecka truć tymi papierochami! I tak już wcześniej chlaliście wódę!

Obaj spojrzeli na Młodego, który towarzyszył matce. Wyglądał na rozbawionego całą sceną.

– Przecież tu można pić i palić – wyjaśniał spokojnie Polipius, przywdziewając na twarzy jak najbardziej szczery uśmiech. – To pokój wspólny. Do rozmów.

– Nie, dopóki mój syn tu jest!

– Oczywiście. Jak zwykle, ma pani rację... – Polipius wstał i położył dłoń na ramieniu Codrisda – Już nie będziemy...

– Tak, pewnie tak... – wymamrotał pod nosem, podwijając nerwowo rękawy.

– Ale należy napić się takiego rozchodniaczka na zakończenia, że tak powiem – ogłosił mroczny stalker.

– Ani mi się waż! – Kobieta groźnie wycelowała w niego palec.

Jednak Polipius już pospiesznie nalewał wódkę, rozlewając pojedyncze krople na blat stołu. Szybko zakręcił butelkę, wrzucił ją do wewnętrznej kieszeni i podniósł swój kubeczek. Cream Heart wyciągnęła rękę, by złapać za kieliszek Codrisda, jednak ten ją ubiegł i błyskawicznie wychylił. Polipius również wypił swoją kolejkę i odetchnął głęboko. Spojrzał figlarnie na Cream Heart i uśmiechnął się cwanie.

– Za późno!

Młody cicho się zaśmiał, a jego matka pokręciła niezadowolona głową.

– Wystarczy. – Wszyscy usłyszeli ten ton. Nawet Cream Heart natychmiast się uspokoiła. Pani Deliktywa wkroczyła energicznie do pokoju rozmów i od razu, swoją postawą i spojrzeniem zaprowadziła porządek. Polipius westchnął rozkosznie na jej widok. Już dawno nie spotkał takiej seksownej dominy, której aura zginała pocieszenie karki wszystkich wokół. Niektórzy ludzie mieli w sobie coś z podobnej aury. Po prostu czuło się do nich respekt. Wyczuwało się to instynktownie. – Koniec tych cyrków. Mamy poważniejszy temat. Ale zanim przejdę do rzeczy, to mam do was pytanie. Widzieliście Sunset?

– Ostatnim razem widziałem ją z... – zaczął Polipius.

– Ze mną? – wcięła się błyskawicznie i powiodła surowym spojrzeniem po twarzach wszystkich. – Ja pytam o to, kiedy ją widzieliście beze mnie. No więc?

Nikt nie odpowiedział. Deliktywa westchnęła.

– Dobra. Pierdolić ją. Później się z nią rozmówię. Fluttershy oczywiście zaraz tu będzie, czyż nie? – Tym razem skierowała się ku Codrisdowi.

– Tak – bąknął pod nosem. – Mówiła, że coś jeszcze musi zrobić...

– Fluttershy tu jest!

Wszyscy spojrzeli w kierunku źródła głosu. Wspomniana stalkerka dyszała, opierając się ręką o framugę wejścia. Włosy zakrywały jej czoło i oczy, lecz łatwo można było wywnioskować, że minę miała nietęgą.

– Sunset zniknęła!

– Mhm... – zamruczała pod nosem Deliktywa, choć dla wszystkim brzmiało to bardziej jak warczenie.

– Zniknęły jej najpotrzebniejsze rzeczy! Ona wyszła z bazy! Ja nie wiem...

– Trudno – Burdelmama wzruszyła ramionami. – Skoro oddaliła się ode mnie bez mojej wiedzy, to lepiej żeby już nie wracała.

– Ty... – Fluttershy postąpiła parę chwiejnych kroków i dopadła do Deliktywy, chwytając ją za rękę. – Jak tak można?! Poza bazą jest teraz niebezpiecznie! Trzeba jej szukać!

– A wiesz gdzie? – spytała beznamietnie burdelmama.

Stalkerka zagryzła zęby. Jej paznokcie wbiły się mocniej w skórę Deliktywy.

– No ale trzeba chociażby spróbować...

Ale kobieta już nie słuchała tych wyjaśnień. Bez ogródek, wyrwała się stalkerce, rozwinęła rulon wcześniej ściskany przez nią w dłoni i położyła go na stole. Fluttershy prychnęła wściekle i opóściła wszystkich. Codrisd drgnął na swym siedzeniu, już chcąc wstać, lecz zatrzymał go wzrok Deliktywy. Kobieta ostentacyjnie zabębniła palcem o mapę, przyciągając jego uwagę.

– Spokojnie – odparła łagodnym tonem, patrząc Codrisdowi prosto w oczy. Jej twarz nie wydawała się być już tak pochmurna. – Nie wie, gdzie jej szukać. Jak się uspokoi, to wróci. A teraz proszę o uwagę. Wszyscy patrzmy na mapę.

Wystarczył jeden rzut okiem, by zorientować się, że na papierze rozrysowana była cała Zona, choć niezaktualizowana. Przede wszystkim Magazyny Wojskowe wciąż były podpisane jako te należące do Wolności, wraz z przyległymi terenami, nie zaznaczono wielu baz Monolitu, a bagna wciąż rozdzielone były pomiędzy dwoma frakcjami – bandytami Mnicha oraz Czystym Niebem. Perłowy paznokieć Deliktywy wskazał lokację na samym południu mapy – Kordon.

– Cel podróży – wskazała dobitnie, a następnie powiodła opuszką palca z powrotem na północ, mijając Wysypisko, a następnie skręcając na wschód prosto do Doliny Mroku. Wszyscy śledzili palec kobiety, jakby byli w transie. – Między Doliną Mroku a Kordonem jest Wysypisko. Przypominam, że jest to wylęgarnia bandytów.

– Nie dałoby się tego jakoś ominąć? – spytał Polipius, próbując dotknąć mapy, lecz burdelmama strząsnęła jego dłoń.

– W Zonie najszybsze drogi są tymi najniebezpieczniejszymi. Jednakże nakładanie trasy sprawi, że będziemy mieli okazję natknąć się na więcej niebezpieczeństw. Żeby dotrzeć do Kordonu, pomijając Wysypisko, musielibyśmy udać się na południe przez Mroczny Wąwóz. Jest tam szeroka, długa na kilkanaście kilometrów, dosyć kręta droga oraz zniszczony most ponad. Wydaje się być idealną miejscówką, czyż nie? Chód po asfalcie byłby wygodniejszy, a gdyby udało się załatwić samochód to już wogóle. Problem polega na tym, to miejsce jest opuszczone od samego początku. Nikt nie wie, co się tam teraz właściwie dzieje. Jedynie paru stalkerów dotarło do połowy i wycofało się. Po tamtej okolicy kręciło się sporo ślepych psów, pijawek oraz bagiennych bestii. Życie zweryfikowało, żeby lepiej tamtędy nie chodzić, bo nikt jeszcze nie przeszedł całej drogi.

– Więc możemy iść w ciemno, spodziewając się nie wiadomo czego – rzekł Codrisd, przypatrując się mapie – bądź iść do bandytów.

– Wysypisko jest bardziej znanym terenem – myślał na głos Polipius. – Osobiście wolałbym już walczyć z ludźmi niż z niewiadomo jakim cholerstwem.

– A inni chcieliby coś dodać? – spytała oczekująco Deliktywa, jednak ani Młody, ani jego matka nie odezwali się jednym słowem. – W ostateczności bandytów można będzie przekupić. Jak będziemy mieć szczęście, to nas puszczą. Jak nie, to wpakujemy im kulę.

– No dobrze... – rzekł drżącym głosem Codrisd. Dłonie spocły mu się, a w sercu krążyła adrenalina. Po tylu latach czekał ich ostatni zryw w Zonie. – To... kiedy wyruszymy?

– Jak uznacie, że jesteście gotowi – odparła Deliktywa. – Ja już od dawna przygotowywałam się na taką ewentualność.

– A co z burdelem? – dopytał Polipius. – Twoje dziewczyny trzeba będzie przeprowadzić. To pewnie będzie duży balast. One nie mają doświadczenia...

– Nie zostawimy ich – odparowała stanowczo. – Ale to prawda, że będzie ciężko przeprowadzić większą grupę przez Zonę. Zona nie lubi tłoku. Więc najpierw będziemy musieli sami dotrzeć do Kordonu i przy okazji przetrzeć szlak. Na miejscu znajdzie się wielu ochotników, którzy za pieniądze pójdą eskortować dziewczyny. Do tej akcji potrzebujemy wsparcia na wypadek ataku bandytów. Potem wraz z pomocą wynajętych stalkerów wrócimy

do Doliny Mroku i podzielimy moje dziewczynki na trzy grupy i wtedy już na zawsze odejdziemy do Kordonu.

– Strasznie dużo latania tam i z powrotem – przyznał Polipius nieprzekonany. – Wolność nie mogłaby nam użyczyć paru wojaków?

– Wolność już ma swoje problemy na głowie i nie będzie trwonić stalkerów – oznajmiła Deliktywa, odsuwając się od mapy. – Próbują odnaleźć generała Lokiego. Gdziekolwiek się teraz znajduje...

III

Gdy wszyscy w obozie Wolności leniwie przebudzali się, nie rzadko zwracając resztki kolacji na kacu, Loki, Neighsay, Wilczarz, jak również dwóch przybocznych stalkerów z Powinności, pędem przedzierali się przez zarośla. Suche badyle skrzypiały pod naporem ich butów, gałęzie krzaków drapały ich twarze jak pazury bestii. Wszystko działo się tak szybko i chaotycznie. Co jakiś czas słyszeli pojedynczy strzał rozpruwający rosnące nieopodal drzewo na drzazgi, co dodawało im kolejnego zastrzyku energii. Sami już nie mieli pewności, czy rzeczywiście szczęście aż tak bardzo im sprzyjało, czy monolitanie tylko się z nimi bawili, goniąc ich jak zwierzynę i przypominając na każdym kroku, kto tu jest górą. Nie, to chyba jednak nie było to. Charon najpewniej rozkazał im czym prędzej się z nimi rozprawić, a to oznaczało, że nie mogli oddać czystego strzału. Teren im sprzyjał. Gdyby znajdowali się na równym, nieosłoniętym terenie już dawno byłoby pozamiatane. Loki splunął krwią przed siebie. Wcześniej wyrznął ustami o kamień i rozciął górną wargę, która zaczynała puchnąć z każdą chwilą. Chyba też stracił zęba. Tak, z pewnością go brakowało. Język wyczuwał wyraźną lukę w uzębieniu. Jak to przeżyje i minie trochę czasu, współpracownicy będą się z niego śmiać, gdy spróbuje się uśmiechnąć. On też będzie.

Gorzej jednak miał kanclerz Neighsay. Jeden z powinnościwców musiał go podtrzymywać. Biegli tuż za Lokim. Dokładnie słyszał, jak oddech kanclerza robi się coraz głośniejszy, przerywany chrząknięciami i kaszlem. Do boku przyciskał szmatkę, która z białej stała się szkarłatna, przesiąknięta krwią. Bieg nie pomagał. Rana kanclerza wraz z każdym krokiem tylko się poszerzała, wylewając z siebie coraz więcej krwi. Spodnie zabarwiły się na dwa kolory; beżowy po prawej, czerwony po lewej aż do nogawki. Zwalniał coraz bardziej.

Dobrze się trzymał jedynie Wilczarz. Wydawał się być wręcz znudzony, a cała ucieczka nie stanowiła dla niego wyzwania tylko spacer. Był na tyle szybki, że bez problemu mógł wyprzedzić całą grupę daleko na przód, a następnie jeszcze wrócić i zdać relację z tego, czy gdzieś nie czają się jakieś zagrożenia. Zdarzało się nawet, że przynosił odcięte fragmenty różnych mutantów, głównie snorków lub nibypsów i nonszalancko obnosił się z nimi. Upewniał się również, czy nie ma żadnych anomalii. Nie widać było po nim żadnego zmęczenia.

Kanclerz wysunął się z uścisku swojego kompana i upadł przed siebie na twarz. Jego strażnik czym prędzej chciał go podnieść, jednak tym razem było inaczej. Neighsay odtrącił jego pomocną dłoń.

– Nie... – wydyszał. – Tylko was spowalniam... I tak nie dam rady.

– Ale kanclerzu... – zaczął oponować powinnościowiec, jednak ten uciszył go ruchem ręki.

– Ślubowałeś wykonywać rozkazy bez sprzeciwów... Tak więc...

Loki zatrzymał się i obrócił przerażony. Kanclerz leżał półżywy. Rosnąca kałuża czerwieni u jego boku; widział, jak uchodzi z niego życie. Jednak nie mógł się na to zgodzić. Wszyscy potrzebowali go żywego.

– Co tak stoicie?! – wrzasnął do powinnościwców. – Podnoś go! To twój przywódca! Pozwolisz mu zginąć?!

– Nie wtrącaj się... Loki – wysyczał przez zaciśnięte zęby, z trudem podnosząc na niego gniewne spojrzenie.

– Tym razem pozwolę sobie na wtrącenie się. Kanclerz w tym momencie nie myśli jasno. Widzicie ile krwi stracił? Jak ktoś jest niepoczytalny, to nie powinien wydawać rozkazów. Nie słuchajcie go!

Powinnościowcy zawahali się przez moment.

– Ja... nie jestem... – próbował powiedzieć kanclerz – ... nie jestem... niepoczytalny...

– Coś słabo go słyszać. Pewnie chce, żebyście go podnieśli. No już chłopcy, bierzcie go do góry! Zaraz Monolit tu będzie!

Tym razem stalkerzy się nie ociągali i dźwignęli swojego przywódcę, co bardziej przypominało wleczenie ze sobą martwego ciała. Neighsay już nic nie powiedział. Najpewniej zemdłał, co z jednej strony ułatwiało i utrudniało ucieczkę. Przed nimi rysował się zagajnik sosnowy, na ich oczach gęstniejący coraz bardziej. Być może to dobrze, pomyślał Loki. Drzewa ukryją ich przed niechcianymi spojrzeniami monolitanów, ale

spowolnią ich ucieczkę i utrudnią manewrowanie. Jak tylko uda się pokonać zagajnik, to powinno być lepiej. Może nawet dożyją jutra. Przynajmniej mieli przewodnika w postaci Wilczarza, który irytował się coraz bardziej ze względu na malejące tempo. Miał ochotę uciec od tych wszystkich ludzi.

– Wiecie, chyba pójdę się wysikać.

– Tylko nie oddalaj się za bardzo – odkrzyknął Loki.

Nie zaprztał sobie głowy jego słowami. Wilczarz doskonale wiedział, co ma robić, a zawsze to było to, na co on sam miał ochotę. Szybkimi susami zagłębił się w gęstniejące drzewa. Słońce dopiero wspinało się na najwyższy punkt nieboskłonu, więc widoczność nie była najgorsza. W tym stanie mógł przeć przed siebie bez większych zmartwień. Tylko on i natura, a raczej to, co pozostawiła po sobie Zona. Jednak to również miało swój specyficzny urok, który z czasem zaczął bardziej mu się podobać. Wprawdzie czasy więzień o zaostrowym rygorze dodawały nieco pikanterii w codziennym życiu, zawsze działo się coś ciekawego, a od pierwszego dnia nie myślało się o niczym innym, żeby stamtąd prysnąć, to jednak pustkowia Zony były jego miejscem. Prawie żadnych ludzi, którzy mogliby marnować jego cenny czas. Na co? Na obcowanie z tym, co było dzikie, pierwotne i nieujarzmione przez rękę ludzką; Zonę. Cywilizacja była odwrotnością tego stanu. Nienawidził cywilizacji.

Zatrzymał się na moment, aby wsłuchać się w niezmacone rodzajem ludzkim dźwięki. Cisza. No tak, żadnych ptaków, czy nawet delikatnych robaczych odnóży stających po korach drzew, czy trzepoczących skrzydeł małych, upierdliwych owadów. Nic. Ale cisza również miała swoje zalety. Człowiek nigdy nie słyszał prawdziwej ciszy. Zawsze coś oddziaływało na jego uszy, dlatego brak jakichkolwiek dźwięków był taki niepokojący. Podobnie jak całkowita samotność w nieznanym miejscu, które zdawało się być martwe. W gęszczu bardziej skupionych drzew światło nie miało tak łatwej drogi, przez co w otoczeniu miejscami zalegały cienie. Te miejsca były idealną pożywką dla wyobraźni, umysł lubi wypełniać luki w obrazie, czasem zakładał najgorsze. Jakieś zagrożenie czające się w mroku. Kątem oka ciągle coś takiego się widziało, jednak za każdym spojrzeniem w tamtym kierunku, okazywało się, że to tylko fałszywy alarm. Wilczarz nie przejmował się zbytnio. Zdawał sobie sprawę, że to on był najgroźniejszą istotą w całej okolicy. Zobaczył gdzieś po prawej, że cień wysunął się z ciemności, skoczył w jego kierunku. Jego ciało drgnęło.

Nad jego głową wybrzmiał gardłowy ryk. Coś ostrego porysowało mu czaszkę. Coś dużego. Pojawiło się i zniknęło. Jednym susem pokonało ponad piętnaście metrów. Wilczarz

rozejrzał się na boki. Tak, wiedział co to było. Bestia przestała się kryć. Chciała zakończyć to jednym atakiem i zazwyczaj jej się to udawało. Zaraz znów zaatakuje.

Wilczarz dotknął tyłu głowy. Czubkami palców wymacał podłużną ranę, dosyć głęboką, na tyle, że mógł spokojnie powiedzieć, że od śmierci dzieliło go parę milimetrów. Stróżki krwi opływały jego szyję i spływały po plecach. Spojrzał na swoją zakrwawioną dłoń. To była jego krew. Nie mógł tego zaakceptować. Zacisnął gniewnie pięść i uniosł wzrok na potwora, który ośmielił się rzucić mu wyzwanie.

Z sykiem metalu wyjął maczetę. Skulił się, ugiął nogi. Jego ciało było gotowe.

– No dobra, zwróciłeś na siebie uwagę – mruknął pod nosem, wciąż zachowując ton pozbawiony emocji.

Mutant wyszczerzył kły wielkości kciuka dorosłego mężczyzny. Jego dwie głowy, osadzone na masywnych szyjach, nieustannie wpatrywały się w Wilczarza, języki wysuwały co chwilę jak u węża, a gęsta ślina wypływała spomiędzy zębów. Potwór przyczał się jak tygrys, okrążając po łuku swój cel. Wilczarz widział pracę mięśni potwora pod gołą skórą - te zaciskały się i rozkurczały. Całe trzysta kilogramów czystej masy mięśniowej. Ponad dwa razy więcej niż Wilczarz. Grube łapy, które pazurami szurały po runie leśnym, zginały wszystko pod sobą. Na Wilczarza polował potwór równie groźny jak mityczne stworzenia z legend. Jeden z najniebezpieczniejszych, który mógł upolować pijawkę, a w grupie kilku zagryzały pseudogiganta. Numer jeden najgorszych stworzeń w Zonie według wielu stalkerów. Chimera.

Wilczarz wycofał się ostrożnie. Stał tuż za drzewem. Miał szczerą nadzieję, że napotkał tylko jedną chimerę. Już i tak to starcie będzie ciężkie. Maczetę trzymał przed sobą w dłoni twardej jak stal. Liczył na to, że potwór spróbuje ponownie do niego doskoczyć. Jednak nic się nie działo. Chimera stąpała powoli i regularnie zmniejszała dystans. Skubana nie atakowała bezmyślnie, byle nie wyróżnąć w drzewo. Czegoś się pewnie nauczyła przez ostatnie lata. Zamiast czekać, Wilczarz wycofał się głębiej między drzewa. Odległości pomiędzy nimi malały. On mógł się precyzować. Chimera z pewnością nie da rady manewrować na takim terenie.

Mutant zatrzymał się. Zaczął wręcz się wycofywać. Wilczarz zastanawiał się, co zaraz się stanie. Potwór zrezygnował i zaatakuje innym razem? To nie pasowało do chimery. One nigdy nie odpuszczały, ale żeby dostać się do Wilczarza, będzie musiała jakoś obejść drzewa. Dwie głowy uniosły się ku górze. Mutant wycofał się jeszcze trochę, spiął wszystkie mięśnie i ruszył z miejsca. Szybko. Ledwo go było widać. Rozmazany kształt przeleciał kilka

metrów nad Wilczarzem. Chimera wczepiła się pazurami w koronę drzewa na wysokości około pięciu metrów. Tuż pod Wilczarzem.

Zrobił unik. Przeturlał się, przy okazji uderzył o pień. Potężne cielsko spadło tuż obok niego. Wilczarz wyczołgał się i wybiegł z powrotem na malutką polanę. Chimera pozostawała wciśnięta pomiędzy drzewa, ale wiedział już, że to nie potrwa długo. Jednym wielkim susem potwór doskoczył do czubka drzewa, które ugięło się pod ciężarem mutanta, i odbił się sprężystymi nogami. Jak pocisk z otwartymi paszczami, mknął ku mężczyźnie.

Wilczarz ponownie się przeturlał. Chimera zryła ziemię długą bruzdą i natychmiast ponowiła atak. Jedna z paszcz kłapnęła tuż przed twarzą stalkera, brudząc go śliną. Maczeta pomknęła ze świstem. Długie pazury odbiły metal, który żałośnie zabrzczał i pomknęły rozerwać szyję. Unik. Wilczarz otarł się o suchą skórę mutanta. Oberwał nieszczęśliwie od stawu łokciowego potwora. Nieco to nim zachwiało. Jedna z głów wyciągnęła się, rozwarła szczęki potwornie szeroko i zakleszczyła się na udzie. Ból wykrzywił twarz mężczyzny. Nie miał czasu myśleć nad tym, ile ton nacisku wywierał potwór, skoro kły zatopiły się tak głęboko. Uniósł maczetę, która spadła na łeb potwora, jednak niecelnie. Jedna z głów wycofała się i ostrze zdążyło obciąć jedynie kawałek pyska. Obrażenia i tak niegroźne dla potwora. Jego były znacznie gorsze. Upadł na plecy. Przed nim wznosiła się sylwetka chimery. Potężna. Górująca.

Wilczarz wyszarpnął pistolet. Bardzo tego nie lubił, jednak to nie miało wtedy znaczenia. Oddał parę strzałów w kierunku potwora, dla którego były to bardziej uszczypnięcia, niż morderczy ołów gotowy rozerwać tkanki. Magazynek wyczerpał się. Wyrzucił nóż przed siebie. Stał utkwiała w nodze potwora, stercząc jak wykałaczka, ponownie nie robiła na nim żadnego wrażenia. Wilczarz nie miał zamiaru umierać. Maczety nie wyrzuci. Nigdy. Jego ostatnia linia obrony, która właśnie miała się przydać. Chimera postąpiła dwa kroki przed siebie. Wilczarz nie wycofywał się. Ugiął zdrową nogę. Był w zasięgu, jednak nie kopnął potwora w jeden z pysków. Jego podeszwa uderzyła w głowicę noża sterczącego w nodze potwora. Ostrze wbiło się głęboko jak gwóźdź, przeszło na drugą stronę. Następny zamach nogą, czubek buta uderzył o rękojeść noża, wykręcając stal wewnątrz ciała potwora. Ostrze rozcięło skórę na parę centymetrów. Ciemna krew zaczęła się wylewać z rozdartej rany. Chimera zawyła. Tym razem to Wilczarz się przybliżył. Podniósł się, wskoczył na zdrową nogę, potężnym ramieniem wprawił maczetę w ruch. Stał przecięła powietrze aż uderzyła w pysk chimery. Z nozdrzy i szczęki buchnęła krew. Odpadły od głowy potwora. Raniony łeb nieudolnie zawył. Język chimery nieosłonięty już przez zuchwę

i kły, zwisał bezwładnie, również rozcięty. Maczeta przeszła gładko. Przecięła głowę na pół. Pozostała druga.

Kolejny zamach. Chimera uchyliła się zwinnie, nie bacząc na krew i ból. Odskokczyła. Odwróciła się. Jej ogon jak bicz trzasnął dłoń Wilczarza. Maczeta wyfrunęła wysoko ku górze, wirując i wbiła się w pień drzewa. Nadszedł czas na starcie bez użycia broni. Tylko że mutant posiadał pazury i jedną sprawną szczękę pełną ostrych zębów. Chimera doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Pewnie podeszła do Wilczarza. Kopnięcia w jej pysk nie pomagały. Stalker spiął się jeszcze bardziej i wyrzucił biodra przed siebie, prostując naprężoną do granic możliwości nogę. Chybił. Chimera złapała pędzącą kończynę w swoje pazury i przyciągnęła do siebie człowieka wojującego do ostatniej kropli krwi. Stała na nim, przygważdżając go. Wilczarz widział przed sobą mordę trzy razy większą od swojej. Wargi potwora rozciągnęły się, odsłaniając żółte zębiska, pełne gnijącego mięsa pomiędzy nimi. Mięsa do którego zaraz dołączy. Wilczarz maksymalnie się odchylił od śmierdzącego oddechu bestii, nie mógł jednak uciec przed kapiącą na jego twarz śliną. Nie mógł się ruszyć. Chimera przygwoździła go ciężarem, pazury zaciskały się na jego ręce, przebijając się przez skórę. Napawała się zwycięstwem. Podobno niektóre mutanty lubiły się bawić zdobyczą przed jej uśmierceniem. Może dlatego jeszcze nie był martwy.

Wilczarz jak tylko mógł wyciągał swoją prawą rękę. Nie miał już broni. Gołe pięści nie zrobią potworowi krzywdy, bestia nie da sobie wyłupić oczu, z resztą, to jej nie powstrzyma. Mógł tylko liczyć na cud. Po raz pierwszy tak brakowało mu kompanii. W grupie nawet słabsze jednostki poradzą sobie lepiej niż jedna, choć silna. Być może mu się tylko zdawało, ale chyba ich słyszał. Gdyby tylko mogli się pospieszyć...

Chimera rozwarła szczęki. Wilczarz zacisnął wściekle zęby i zamknął powieki. Oczywiście, że nie zdążą. I po co tak się forsował? Od dawna tylko wygrywał, utrzymując swoją dominację. Jak na ironię ciągle zwycięstwa doprowadziły go do największej porażki. Do śmierci. Koniec. Trafiła kosa na kamień.

Wilczarz rozwarł szeroko oczy, tak, jakby właśnie coś sobie uzmysłowił. Nie. Nie będzie odwracać wzroku. Powinien na to patrzeć, jak wykańcza go ostatni przeciwnik. Sam sobie był wszystkiemu winny. Nie ugnie się przed strachem. Niech bestia zatopi zęby w jego karku albo niech odgryzie mu twarz. Czuł jak podniecenie przepływa przez ciało chimery. Tętnice pod skórą na szyi potwora pompowały pospiesznie krew. Widział, jak pulsują. Wilczarz zmrużył oczy. Palcami po swojej prawej coś wyczuł. Zacisnął wolną pięść. I uderzył.

Zęby potwora zatopiły się w tętnicy szyjnej. Potwór zaryczał gniewnie. Pięść Wilczarza zaciskała się na odciętej wcześniej żuchwie potwora, pełnej spiczastych zębów. Dociskał do ciała potwora odcięte kły zranionej głowy i wwiercał je tak mocno, jak tylko mógł, rozrywając szyję chimery. Wilczarz zawył na cały głos, z trudem otwierając ranę. Fontanna krwi zalała go. Brunatna skóra potwora pruła się opornie, ale nie odpuszczał. Pulsujący strumień uderzył go w oczy. Na chwilę stracił orientację.

Chimera słabła. Czuł to. Ucisk jej szponów zelżał. Tym razem Wilczarz miał szczęście. Pokonał potwora za pomocą jego własnej broni. Odcięty fragment żuchwy przyciskał do piersi, jak talizman mogący uratować go przed śmiercią. Co z resztą, przed chwilą się stało. Jednak chimera nie bez powodu uważana była za jedno z najgroźniejszych stworzeń. Zacisnęła łapę na ranie, przez co krew nie lała się strumieniem jak z bezdenne wiadra, tylko przeciekała spomiędzy jej szponów. Wilczarz próbował wyczołgać się spod wielgachnego cielska, jednak nie był w stanie. Chimera przygotowywała się do kolejnego uderzenia. Ostrożnie rozchyliła szeroko szczękę i zaatakowała przed siebie. Stalker wcelował prosto w środek. Głowa potwora zakleszczyła się na ramieniu, tuż przy barku, przebijając je. Ręka Wilczarza utknęła głęboko w gardle bestii. Trzymane przez niego odcięte kły wbiły się w przelyk, miękką tkankę, z pewnością łatwiejszą do przecięcia. Jednak Wilczarz nie mógł ruszyć swoją zatrzaśniętą kończyną. Zęby zacisnęły się na niej, z łatwością pokonując opór kości, które trzeszczały i zaczęły pękać jak zapalki. Wilczarz nie wytrzymał i wreszcie wydał się z siebie bolesny krzyk. Dłoń trzymająca kły drętwiała.

Wilczarz błagał samego siebie w myślach, by poruszyć wreszcie tą cholerną dłoń. Wysilał się jak tylko mógł. Krew nabiegła mu do twarzy i oczu, gdy z uporczywym jękiem nie poddawał się. Jednak nie mógł ruszyć palcami. Starał się jak tylko mógł, ale to nie przynosiło efektów. Musiał zadać poważniejsze rany. Bez tego chimera i tak się zregeneruje. A potwór nie odpuszczał, tak samo jak on. Kły przebiły się przez kość. Jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, pożegna się z kończyną. Jeżeli nie zrobi czegoś w tej chwili, wszelkie ścięgna zostaną rozerwane. Nie będzie już mowy o władzy nad kończyną.

Oddychał głęboko, metodycznie próbując wydostać nogę spod mutantą, krótkimi, rwanymi ruchami. Udało się. Wydostał ją. Podciągnął kończynę do siebie, zgiął w kolanie i uderzył nią w gardło potwora. Nie spodobało się to chimrze, zauważył to od razu. Uwięziona wewnątrz dłoń z jego ostatnią bronią pod wpływem uderzenia przesunęła się i rozcięła trzymanymi kłami przelyk. Kopnął po raz drugi i trzeci, nie zważając na rozrywający ból mięśni. Jego noga ciążyła tak bardzo, że czwartego kopnięcia już nie zadał. Noga opadła bezwładnie. Stracił nad nią kontrolę.

Wilczarz spojrzał mdlejącym spojrzeniem prosto w oczy chimery. Czy to coś dało? W tych zwierzęcych ślepiach wciąż tliła się zatrwajająca ilość nienawiści. Zero słabości. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Mutant docisnął szczękę. Szarpnął głowę. Mięśnie rozpruły się i kończyna całkowicie oderwała się od ciała. Wilczarz wydał z siebie jedynie zduszony jęk. Nie miał siły krzyczeć. Jego głowa opadła bezwładnie w kałużę krwi. Stracił rękę, a zaraz straci życie. Nic już nie mógł zrobić. Opuścił.

Chimera wypluła część ciała. Wilczarz kątem oka dostrzegł jak jego ręka turla się po ziemi. Jego własna ręka, zaciśnięta pośmiertnie, trzymająca odcięte kły bestii. Westchnął zrezygnowany. To była dobra ręka i dobrze mu służyła. A ilu ludzi nią zabił, ile dziewczyn nią zadowolił. Wilczarz nie myślał o niczym innym. Przed nim przeżyła się dumnie chimera, nieustraszona i niepokonana, niezachwiana mimo tylu ran. Czy nie mogłaby po prostu umrzeć? Ale nie, mutanty uparcie trzymały się swojego życia. Człowiek jednak jest słabą istotą. Nie potrafi skakać tak daleko, nie posiada pazurów, czy dwóch głów, wypełnionych po brzegi zębami. Człowiek łatwo choruje i się niszczy. Każda rana przybliża go do śmierci. A chimera zagoi wszystkie rany. Już za parę miesięcy jedynym, co pozostanie, to blizny i zgrubienia, które tylko ją wzmocnią przed następnym starciem. Niestety. Wilczarz przynajmniej się starał, ale to nie zawsze wystarczy. Nie zawsze.

Chimera prychnęła, wypuszczając z nozdrzy powietrze jak wściekły byk. Chrząknęła parę razy. Jej łapa zacisnęła się mocniej na szyi. Rozwarła szerzej szczęki, jakby chcąc zaczerpnąć powietrza. Jej nozdrza nadeły się do kolosalnych rozmiarów. Charknęła i kaszlnęła. Podniosła się z Wilczarza, przeszła chwiejnym krokiem, wciąż plując krwią i w panice drapiąc swoje gardło.

No tak. To przecież oczywiste. Takie proste. Brwi Wilczarza uniosły się wysoko ku górze. Na jego twarz wstąpił uśmiech szaleńca. Zaśmiał się cicho. Nie mógł tego powstrzymać. Wypluta kończyna tamowała wcześniej upływ krwi z przełyku potwora. Teraz, gdy nie tkwią tam kły oraz jego ręka, posoka może lać się do wnętrza chimery do woli. Potwór utonie we własnej krwi i nie zdąży się zregenerować. Udusi się.

Chimera przeszła kawałek polany w kierunku drzew, jakby chciała czym prędzej się wycofać, jednak nie dała rady. Nogi rozjechały się pod nią. Mutant skręcał się i skomlał jeszcze przez parę chwil, aż całkiem znieruchomiał. Wilczarz podniósł się powoli. Chciał otrzeć krew z twarzy ręką, którą akurat się nie podpierał, jednak przypomniał sobie, że jej nie ma. A wciąż wydawało mu się, że tam jest. Nawet nie czuł już bólu. Nie czuł niczego, oprócz mieszkanki samozadowolenia oraz gniewu. Wilczarz rozejrzał się, spojrzał na swoją odgryzioną kończynę, następnie na mutantą i splunął krwią w jego kierunku.

– Kurwa. A to była taka dobra ręka... – westchnął.

Wstał. Jakimś cudem mógł to zrobić. Jego drżące nogi były o krok od ugięcia się pod nim, ale wytrzymał. Ostrożnie stąpając, podszedł to swojej ręki i z jękiem schylił się po nią. Przez chwilę podziwiał niezwykle zjawisko oglądania swojej kończyny z tej perspektywy, gdy od strony jego pleców doczłapała się wreszcie reszta uciekinierów. Na widok rozegranych przed chwilą tu wydarzeń, zatrzymali się oniemieli z wrażenia. Wilczarz momentalnie wyprostował się, przyjął postawę godną i mówiącą, że nic wielkiego mu się nie stało. Jednak jego kompani mieli co do tego odmienne zdanie.

– Co to się... kurwa... – urwał Loki, gdy spostrzegł truchło chimery. Nie był w stanie kontynuować.

Wilczarz podrzucił nonszalancko w dłoni swoją własną kończyną i obrócił się w ich kierunku.

– To co widzisz. Walczyłem z chimera.

– Pokonałeś ją?! – wychrypiął Loki, nieruchomiejąc jak posąg symbolizujący niedowierzanie.

– Tak – odparł spokojnie Wilczarz.

– Czyli, że... że ona nie żyje?

– Tak.

– A... a czy to jest twoja ręka?

Wilczarz westchnął podirytowany, jednak odpowiedział cierpliwie.

– Tak.

– O kurwa... Kurwa, kurwa, kurwaaa... – Loki złapał się za głowę. – Ja pierdolę, to coś czaiło się na nas... Niech to chuj jasny strzeli... A tyś to kurwa pokonał, do kurwy nędzy...

– Zamiast tak brzydko mówić, pomóż mi zająć się moimi ranami.

– Ranami? Ach, no dobra...

Loki z przerażeniem podszedł do Wilczarza, co jakiś czas oglądając się za siebie, sprawdzając, czy ciało chimery nie wstanie przypadkiem. Ze zgrozą również patrzył, jak Wilczarz, zupełnie nie przejmując się niczym, próbuje dopasować odgryzioną rękę do wystającego kikuta.

– I macie mi to przyszyć, jak już dotrzemy do waszej bazy – burknął Wilczarz.

– Och, no oczywiście... Cholera, cały czas krwawisz. Zaraz wszystko z ciebie wypłynie.

To była prawda i Wilczarz doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Stał na nogach nie dzięki sile mięśni, lecz dzięki sile woli. Nie mógł okazać przed innymi słabości. Wilczarz nigdy nie mdleje. Co nie zmieniało faktu, że jeszcze chwila i nawet pragnienie ustania na prostych nogach nie wystarczy.

Wilczarz przysiadł i Loki zajął się tamowaniem krwi. Tuż obok niego stało dwóch powinnościwców, którzy wciąż targali za sobą nieprzytomnego kanclerza, Korzystając z chwili, postanowili również bardziej zadbać o jego obrażenia.

– To jest... najgorszy dzień mojego życia... – jęknął Loki, zaciskając materiał na kikucie Wilczarza.

– Przynajmniej będziesz miał za co wypić w barze – mruknął znudzony Wilczarz.

Loki potrząsnął żywiołowo głową.

– O tak! Jak tylko dotrę do bazy, to nie zrobię niczego innego, tylko pójdę do baru!

– Możesz wypić moje zdrowie.

– Z pewnością to zrobię! To, czego dokonałeś, przejdzie do legendy!

– Świetnie. Jesteśmy na końcowym odcinku drogi. Już zaraz będziemy.

– Hej! – krzyknął Loki do dwóch powinnościwców. – Macie łączność z kimkolwiek, kurwa? Nawet telefon do byłej żony by mnie zadowolili.

Jeden ze stalkerów sprawdził swoje PDA i pokręcił przecząco głową.

– Kurwa... – wycedził przez zaciśnięte zęby Loki. – Musimy dalej popierdalać przed siebie jak dzikie zające.

– Przestań się mazać – mruknął Wilczarz, uśmiechając się pewnie. – Ja straciłem rękę, a nie narzekam.

Loki nie miał zamiaru się kłócić. Właściwie to zgodził się i stanął gotowy do akcji.

– Jesteś gotowy do dalszej drogi? – spytał Wilczarz.

– Jasne – odparł bez ogródek.

– A wy? Zajęliście się nim? – Wskazał na kanclerza.

Powinnościowy skinęli głowami. Wyglądało na to, że udało im się jako tako polatać dowódcę Powinności. Ekipa wyruszyła ponownie, a Wilczarz już tym razem nie szarżował przed siebie, idąc na samych tyłach. Tam mógł lepiej ukryć swoje dolegliwości przed innymi.

Aszot i Jar stali przed panelem radia, które emitowało jedynie monotony szum, i dumali głośno, co chwilę burcząc coś pod nosem. Chodzący nerwowo w tę i z powrotem za nimi Czechow denerwował się niezmiernie. Brak jakiegokolwiek łączności. Z kimkolwiek. Nawet z Powinnością. Próbował łączyć się z każdym; brak jakiegokolwiek odpowiedzi. To było niemożliwe, żeby stracić łączność ze wszystkimi. Czechow podejrzewał, że to musi być problem ich radia, a nie odbiorników wszystkich innych stalkerów. Aszot majstrował coś przy pokrętlach, a Jar dotykał radia, udając, że wie, co robi. W końcu Czechow nie wytrzymał. Tupnął obcasem tak głośno, że obaj stalkerzy aż podskoczyli ze strachu.

– No naprawicie to wreszcie do kurwy nędzy, czy nie?!

– Naprawimy, naprawimy... – jęknął Aszot.

– A może wypadaloby to najpierw, kurwa, rozkręcić, a nie obmacywać jak jakąś dziewczkę?!

Aszot i Jar spojrzeli po sobie.

– Hmm, to może być dobry pomysł... Zaraz zajrzemy do środka.

– Czy w tej bazie nie ma ani jednego specja od takich rzeczy?! – lamentował Czechow, machając rozpaczliwie rękami. – Wszyscy są albo najebani, albo do dupy w te klocki! A my musimy mieć łączność, cholera jasna! A co jeśli generał Loki próbuje się skontaktować? Jak te chuje z Powinności ich wyróżnili, to mamy przejebane! Przejebane, mówię wam!

– Zaraz wszystko będzie działać... – zapewniał uspokajająco Aszot.

– Będzie dokładnie tak samo, jak gdy zgłosiliście się do gipsowania ściany! Dwa tygodnie żeście się kłócili, jak to zrobić. A potem podzieliliście się na pół i zrobiliście tak chujowo, że wyglądało to gorzej niż przedtem! Czy wy się do czegośkolwiek nadajecie?!

– Spokojnie, zaraz coś poradzimy... – jęknął Jar, nerwowo, trzęsącymi się dłońmi, wykręcając śrubki z obudowy.

Czechow machnął ręką z rezygnacją i podszedł do parapetu. Znajdowali się w najwyższym punkcie bazy w Dolinie Mroku, przez co widok z tego miejsca odsłaniał ładnie kilkadziesiąt kilometrów aż do linii horyzontu. Czechow oparł łokcie i z westchnieniem popatrzył zmęczonym wzrokiem przed siebie. Być może chwila z urokami Zony pomoże mu ukoić nerwy. Dawno się tak nie zdenerwował, a nie trudno było mu wpaść w gniew. Teraz czuł zbyt duży ucisk w środku, żeby znów zacząć wrzeszczeć. Z resztą, co to da? Nikomu to nie pomoże, a zaszkodzi najbardziej samemu sobie.

Jego uwaga oderwała się na moment od zerwanej łączności. Oko odruchowo podążyło za przesuwającymi się kształtami. Nie widział co to konkretnie było. Może jakiś

mutant... chociaż nie. Bardziej to wyglądało na biegnących ludzi. Wzrok już miał nie najlepszy, więc pospiesznie sięgnął po lornetkę i gdy przybliżył obraz, omal nie wypuścił jej z rąk. Obrócił się i jak poparzony zaczął zbiegać w dół po schodach.

– EJJJJ! EJ, EJ, EJ! – krzyczał przez cały czas. – WSZYSCY, DOSŁOWNIE KURWA WSZYSCY, WYPIERDALAJĄ ZA BRAMĘ! WSZYSCY! – darł się, wybiegając na podwórko przed liceum Canterlot! Początkowo stalkerzy zamarli, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. – JUUUUŻ! PĘDŹCIE PRZED SIEBIE! NA WSCHÓD, NA ZBOCZAAA! LOKI KURWA BIEGNIE CAŁY WE KRWIIIII! – wrzasnął pod niebiosa, po czym upadł na kolana. Jego gardło zaczęło wydawać jedynie żalosne piski.

Lecz stalkerzy zrozumieli rozkaz. Odstawili wszystko to, czym się wcześniej zajmowali, chwycili za broń i ruszyli przejąć swojego głównodowodzącego. Zdyszany Czechow padł twarzą na chłodną ziemię. Przynajmniej ona mogła nieco ostudzić jego emocje.

[Rozdział 11 – Wolność i Powinność](#)

[Rozdział 12, część 1 – Pani Deliktywa](#)

[Rozdział 13, część 1 – Siostra i brat](#)